Ivy Compton-Burnett

SŁUŻĄCY I SŁUŻĄCA

Przekład i posłowie
Marcin Szuster

1

– Kominek tak kopci? – powiedział Horacy Lamb.

– Owszem, drogi chłopcze, takie sprawia wrażenie.

– Nie pytam, jakie sprawia wrażenie. Pytałem, czy kopci.

– Podobno wrażenia nie są kluczem do prawdy – rzekł jego kuzyn. – Wydaje się jednak, że innego nie mamy.

Horacy wkroczył do pokoju, jak gdyby w ogóle nie zwracając uwagi na otoczenie.

– Dzień dobry – powiedział rozkojarzonym tonem, który zmienił barwę, kiedy wzrok odzyskał ostrość. – Chyba naprawdę kominek tak kopci.

– Jest akurat w tej fazie, w której wydziela się dym. Więc trudno, żeby robił co innego.

– Czy ty mnie naprawdę nie zrozumiałeś?

– Ależ tak, drogi chłopcze. Trochę kopci. Nie da się ukryć.

Horacy włożył ręce do kieszeni i wydał ustami bezdźwięczny odgłos. Był mężczyzną w średnim wieku, przeciętnego wzrostu i przeciętnej budowy, miał chude, pomarszczone policzki, oczy w kolorze czystego, zimne-

go błękitu, regularne, choć niesymetryczne rysy twarzy, i nawyk spoglądania w bok, jakby w roztargnieniu. Była to kara dla ludzi za irytację, jaką w nim wzbudzali i którą musieli odpokutować.

– Czy ten kominek aby nie kopci, Bullivant?

– No cóż, proszę pana, kopci to za dużo powiedziane – rzekł kamerdyner, kuląc się w obliczu wspomnianego zjawiska. – Normalna reakcja na porywisty poranek. Okresowy spazm wywołany podmuchem wiatru.

– Pokryje sadzą cały pokój?

– Tylko lekką warstewką, proszę pana. Nie ma o czym mówić – powiedział Bullivant, nie patrząc na Horacego i trzymając się swojego kursu.

Bullivant był mężczyzną o większych gabarytach niż jego panowie i robił wrażenie osoby sporego formatu, w każdym sensie. Miał dyndające policzki, podążające za nimi ciężkie powieki, grube, mocne dłonie, których ruchy były zwinne, szybkie i precyzyjne, nos, który nie bardzo różnił się od otoczenia, i podbródek przechodzący płynnie w głęboko pofałdowaną szyję. Wbijał w swojego pomagiera małe, nieruchome, piwne oczy i roztaczał aurę znużonej, niemal krotochwilnej dezaprobaty, która wskazywała na skłonność do przyciągania spojrzeń chlebodawców.

Mortimer Lamb lubił Bullivanta; podwładny Bullivanta, George, nie lubił Bullivanta i się go bał; Horacy tylko się go bał, jeśli nie liczyć ataków szewskiej pasji, kiedy to nie bał się niczego i nikogo.

George był niezgrabnym, przerośniętym młodzieńcem, którego przyodziewek konotował jeszcze ciągle

stan juwenilnej użyteczności; który szurał stopami, nerwowo podskakiwał i unikał cudzych spojrzeń, ale potrafił sprawiać przyjemne, choć zarazem nieuchronnie żałosne wrażenie. Pod okiem Bullivanta wykonywał każdy ruch dwukrotnie, jak gdyby zdwojony wysiłek dowodził szczególnej skwapliwości, i oto zwierzchnik wpatrywał się weń tak długo, aż George poszedł, a właściwie zbiegł do kuchni pod pretekstem, że ma tam coś do załatwienia. Bullivant przyjął rozluźnioną postawę i zwrócił się do Horacego niemal z uśmiechem, potrafił bowiem markować określony wyraz twarzy, bynajmniej go nie przybierając.

– Nie sztuka robić to samemu, proszę pana, sztuka ich do tego zmusić. Nigdy bym nie powiedział, że trudniej robić te wszystkie rzeczy samemu.

– Więc czemu ich nie robisz? – rzekł Mortimer nonszalanckim tonem.

Bullivant spojrzał na niego, a Horacy odwrócił wzrok.

– Po prostu nie mogę pojąć, dlaczego niektórzy dobrowolnie biorą na siebie trudniejsze zadanie – powiedział Mortimer, nieco spuszczając z tonu.

– No cóż, proszę pana, musimy myśleć o przyszłości, kiedy nas już nie stanie – rzekł Bullivant, biorąc odwet na Mortimerze przez objęcie go tą perspektywą i w ostatniej chwili uchylając się przed kłębem dymu.

– Ja nie muszę. W ogóle nie przyszłoby mi to do głowy.

– Nie wolno myśleć, że świat kończy się razem z nami tylko dlatego, że kończy się dla nas.

– Bullivant, chyba nie sądzisz, że chcę, abyś robił to wszystko sam, co?

– Czy ten komin nie wymaga przeczyszczenia? – zapytał Horacy, nie udając, że porzuca dotychczasowy tok myśli.

– Dopiero wiosną, proszę pana – odparł Bullivant tonem upomnienia.

– Nie lepiej byłoby napalić w nim wcześniej? – zapytał Mortimer, nie patrząc na kuzyna.

– No cóż, proszę pana, na jeden poranek taki jak ten może przypaść tuzin z cugiem słodziutkim jak... – Bullivant przerwał, nim porównanie nabrało rumieńców, i wykonał kolejny unik.

– Przewód musiał się zatkać – stwierdził Horacy.

– No cóż, proszę pana, jeżeli tak się stało, to nie z braku stosownych poleceń – odparł Bullivant, nawiązując do ostatniego spotkania z kominiarzem i utrzymując pokerową twarz w obliczu kolejnego podmuchu. – George, poproś panią Selden, żeby poczekała ze śniadaniem. Wynikła tutaj sprawa, którą trzeba wyjaśnić.

George przekazał wiadomość i wrócił. Bullivant czynił ze swoich rozporządzeń pantomimę, jak gdyby instrukcje wypowiadane na głos nie licowały z jego godnością i były za trudne dla George'a. Ten ostatni po chwili napiętej uwagi zniknął i powrócił z żerdzią, którą zaczął gmerać w kominie.

– Ogień za gorący? – powiedział Horacy.

– Nie, proszę pana – rzekł prostodusznie George.

– Wydaje się pozbawiony większości naturalnych cech ognia – zauważył Mortimer.

Horacy obserwował te poczynania, jak gdyby nic nie słyszał. George prowadził je na próżno, zgrzał się bez udziału ognia i w końcu zerknął na Bullivanta. Ten chwycił żerdź i wykonał nią lekki skrętny ruch, wskutek czego do paleniska wpadł martwy ptak. George przyglądał się temu, jakby był świadkiem czarów, a Bullivant bez słowa i spojrzenia oddał mu żerdź, karcącym gestem wskazując odrobinę sadzy, która na niej osiadła.

– Dzięki Bogu, nie jest to wina rusztu – rzekł Horacy, jak gdyby zadowolony, że może uwolnić swój dom od podejrzeń.

– To kawka – rzucił Mortimer. – Wielkie, czarne ptaszysko. Tyś je tam wepchnął, Bullivant?

Bullivant z wyniosłą miną wskazał ptaka George'owi i dopiero gdy ten zabrał truchło, zwrócił się grobowym tonem do Mortimera.

– Nie mam tak zupełnie nic wspólnego z obecnością tego ptactwa, że kiedy brałem sprawy w swoje ręce, nie byłem pewien jakiegokolwiek rezultatu. Po prostu miałem nadzieję, że moja interwencja odniesie jakiś skutek.

– Pani się spóźnia – powiedział Horacy – ale prosi, żeby na nią nie czekać.

– Tak jest, proszę pana – odparł Bullivant. – Już o tym ze mną mówiła.

Oddalił się w stronę drzwi, a potem wrócił z miną człowieka, który stanął na wysokości zadania. Kiedy zjawił się George z półmiskami, Bullivant przechwycił je i postawił na blacie, układając sztućce do serwowania potraw pod dogodnym kątem, jak gdyby ludzie nawykli do pełnej obsługi mogli mieć wątpliwość co do ich

przeznaczenia. Kiedy Horacy nałożył im na talerze, Bullivant zakrył półmiski i wymownie skorygował ustawienie imbryków z kawą.

– Paniom nie przeszkadza, że śniadanie jest zimne – powiedział Horacy.

Bullivant skwitował kobiecą obojętność w tej kwestii wzruszeniem ramion i dał George'owi sygnał, żeby ustawił półmisek przy kominku. Kiedy podwładnego osaczyła chmura dymu, nie spuszczał go z oka, by upewnić się, czy nie daje żadnych znaków, i zmarszczył brew, widząc, że daje znaki cokolwiek rozpaczliwe.

– A więc nie kawka była za to odpowiedzialna – stwierdził Mortimer. – Pochopnie obarczyliśmy winą coś, co nie może się bronić.

– Myślę, że jednak była, proszę pana – powiedział Bullivant cichym, aksamitnym tonem, jakby chciał, żeby sprawa pozostała między nim a Mortimerem. – Doszło do przemieszczenia porcji sadzy, stąd ten chwilowy efekt.

– No cóż, szynka powinna być uwędzona – rzekł Mortimer.

– Jak to, powinna? – powiedział Horacy. – Znaczy, że nie jest?

– Owszem, drogi chłopcze, teraz już chyba tak. Chodziło mi o to, że nieco dłuższe wędzenie nie powinno jej zaszkodzić.

– Napijesz się kawy? – spytał jego kuzyn.

– A co, jest herbata?

– Nie, pytałem, czy napijesz się kawy.

– No cóż, muszę się napić, prawda?